



Bartosz Ćwir "W cieniu templariuszy"

Fahrenheit Crew

Niespełna dwa lata temu przeczytałem recenzję powieści kastylijskiej pisarki Nurii Masot pt. *Cień templariusza*. Kolejną historię o przesławnym Zakonie Świątyni przyjąłem z pobłażliwym uśmiechem, ale jeden z komentarzy zmusił mnie do głębszego zastanowienia. Mianowicie: pewien użytkownik zadał dość istotne pytanie – dlaczego znów templariusze, a nie tym razem, dla odmiany (bo przecież nie można pisać ciągle o tym samym) joannici?

Podejrzewam, że dla tak zwanego przeciętnego czytelnika oczywiście będzie coś wręcz przeciwnego: zaskoczy go moje i autora owego komentarza zdziwienie. Cóż, o fascynującej historii templariuszy słyszał każdy, zaś szpitalnicy albo (a w zasadzie tym bardziej) „Suwerenny Rycerski Zakon Szpitalników św. Jana Jerozolimskiego zwany Rodyjskim i Maltańskim”... cóż to za twór? Można jeszcze do tego wszystkiego dodać kolejne zdziwienie: czy warto tracić czas na rozgryzanie, dlaczego ktoś zajmuje się tym, a nie tamtym, czemu spodobało się to, nie coś innego, skoro o gustach jak powszechnie wiadomo się nie dyskutuje, a sprawa wydaje się od samego początku oczywista – kolejny zakon, jakich wiele, nie dziwota, że pozostaje poza granicami powszechnego zainteresowania.

Wystarczy sięgnąć do Wikipedii (choć osobiście polecam bardziej rzetelne źródła informacji), by znaleźć dowody jego niezwykłości: „Zakon uznawany jest przez szereg państw za suwerenny podmiot prawa międzynarodowego. Jego nieruchomości: dwie w Rzymie i jedna na Malcie - mają status eksterytorialności. Zakon jest stroną umów międzynarodowych, utrzymuje stosunki dyplomatyczne, bierze udział w życiu dyplomatycznym, konferencjach międzynarodowych, działa w różnych organizacjach jako obserwator (ONZ, UNESCO, UNICEF, Unia Łacińska).” Do tego nie sposób pominąć prowadzonej na szeroką skalę pomocy medycznej, udzielanej często w ogniskach konfliktów zbrojnych (m.in. w Palestynie). No cóż, można powiedzieć, że co prawda zakon przetrwał, odgrywa wielką rolę, jak na organizację religijną, ale skoro każdy może go zobaczyć i sprawdzić, to nie ma w nim żadnego nieznanego, a templariusze, przez to, że tak odlegli w czasie, stali się ze swoją historią skarbnicą zagadek.

Lecz przecież historia Suwerennego Zakonu Maltańskiego także w licznych momentach okryta jest mgłą tajemnicy. Tak na przykład wciąż nie ustalono, skąd na dobrą sprawę pochodził założyciel Zakonu św. Jana – Gerard, przez tradycję uznawany za błogosławionego. Podobna kwestia dotyczyła patrona zgromadzenia i mimo że ostatecznie ustalono, iż jest nim św. Jan Chrzciciel, to jednak nieustannie możemy natknąć się na publikacje, gdzie miast niego podaje się św. Jana Jerozolimskiego, zwanego powszechnie Jałmużnikiem.

Zagadki wciągają nie wówczas, gdy nie ma szans na ich rozwiązanie. Najbardziej fascynujące są takie, gdzie wiadome wymieszano z niewiadomym.

Oficjalnie za założyciela Zakonu św. Jana uważa się – wspomnianego już wyżej – błogosławionego Gerarda. O nim samym wiemy bardzo niewiele, a Tadeusz Wojciech Lange – polski historyk zajmujący się dziejami Kawalerów Maltańskich – stwierdza wprost, że o Gerardzie nie wiadomo nic. Jednakże z pewnością coś wiemy. Nie ma wątpliwości, że to on był założycielem hospicjum (co wynika z bulli papieskiej z 1113 roku), powstałego w obrębie murów opactwa Santa Maria jeszcze przed zdobyciem Grobu Pańskiego przez Krzyżowców.

Prężna działalność założyciela szpitala doprowadziła do rozkwitu kompleksu, zyskującego nową sławę podczas krucjat. Do tego również przyczynił się sam Gerard, który – jak głosi tradycja – z

murów obleganej przez chrześcijan Jerozolimy rzucał chleb. Ponadto często przypisuje się mu inne działania na rzecz przybyszów z Europy. Przede wszystkim pomoc medyczną, kwaterunkową, a nawet wywiadowczą. W każdym razie na skromne bractwo szpitalne spadły wkrótce wielkie zaszczyty i darowizny, przez co przekształciło się ono w sławny zakon szpitalny.

W historii Kawalerów Maltańskich mamy też to, co do dziś przysparza dreszczy zarówno małym chłopcom, jak i dojrzałym mężczyznom: wojenny splendor. Po śmierci brata Gerarda, ok. roku 1120, kierownictwo nad zgromadzeniem przejął niemniej słynny niż jego poprzednik Rajmund du Puy. Nadał on szpitalnemu bractwu regułę, którą później zatwierdził papież Innocenty II, oraz wdrożył w struktury zakonu cechy militarne. Mimo tych zmian i późniejszej wojskowej roli zakon nigdy nie zatracił swego pierwotnego powołania, w którym wytrwał po dziś dzień.

Natrafiamy wreszcie na to, co najbardziej powinno przyciągać uwagę publiczności: na dramatyczną historię. Jerozolimski epizod dziejów zakonu dobiegł kresu w roku 1291, kiedy to upadła Akka – ostatnia stolica państwa Krzyżowców. I chociaż szpitalnicy (zwani tak wówczas przyszli Kawalerowie Maltańscy) wciąż w późniejszym okresie podejmowali próby, kolejnej eskapady w Ziemi Świętej, ostatecznie musieli porzucić te idee i znaleźć dla siebie nową siedzibę. Niczym Eneasz po upadku Troi musieli udać się na wygnanie w nieznane.

Historia szpitalników pęka w szwach od gotowych scenariuszy filmów sensacyjnych. Oto gdy templariuszy dotknęła kasata, rozeszły się pogłoski, że im Filip IV gotuje taki sam los. Zakon ratował się zajęciem wyspy Rodos, doszło do bratobójczych walk między chrześcijanami. Szpitalnicy (nazywani w tym okresie Kawalerami Rodyjskimi) nieustannie prowadzili walkę z Islamem – marząc o podboju Ziemi Świętej – oraz kontynuowali działalność szpitalną. To właśnie w okresie rodyjskim zyskały pierwszą sławę galery zakonne, które, działając w charakterystycznych dwujednostkowych konwojach, zwalczały muzułmańską żeglugę.

Słynne epizody można by mnożyć, podobnie słynne osobistości, działające w szeregach zakonu. W szczególności byli to wielcy mistrzowie – zwierzchnicy braterskiej wspólnoty. Wkrótce zakon stał się siłą rzeczywiście liczącą się na Morzu Śródziemnym, więc – jak pisze wspomniany wyżej Tadeusz Wojciech Lange – „nic też dziwnego, że w sułtanie tureckim dojrzała myśl o eksmisji hardych rycerzy z tak strategicznie położonego miejsca”. Z tego też powodu w roku 1480 sułtan Mehmed II (nazwany przez potomnych Zdobywcą) wysłał na Rodos armię w celu zlikwidowania nieprzychylnych mu rycerzy. Szybko przekonał się, że zakonnicy stanowią orzech znacznie cięższy do zgryzienia, niż sobie to z początku wyobrażał...

Przytaczając te wszystkie historie, trudno nie zadać sobie pytania: jak to jest możliwe, że tak przecież ekscentryczna (bo katolicka, zwróćmy uwagę, jak często samo umieszczenie akcji za murami Watykanu nadaje jej walor takiej egzotyki, jakby działa się w Chinach za czasów Marco Polo), jak na dzisiejsze czasy, , organizacja o niezwykle barwnej przeszłości budzi mniejsze emocje niż zakon, którego dawno już nie ma?

Przeszukałem internetowe księgarnie, aby odnaleźć autorów, którzy – obok wspomnianej na początku Nirii Masot – podjęli się pisania o templariuszach. W przeciągu kilku minut natknąłem się na takie nazwiska jak Raymond Khoury, Jack Whyte, Javier Sierra, Robyn Young. Trylogia ostatniej z wymienionych osób była mi dobrze znana, bo swego czasu czytałem ją z niemałą fascynacją (przyczyniła się też w pewnym stopniu do rozwoju mojej pasji związanej z joannitami, przedstawionymi tam jako jeden z przeciwników rycerzy Templum). Ten sam zabieg powtórzyłem w odniesieniu do szpitalników. Wynik odbiegał jednak znacznie od poprzedniego, a mianowicie... znalazłem jeden tytuł: *Pan Samochodzik i joannici* (aa przecież możemy odnaleźć w ramach tej samej serii tom pt. *Pan Samochodzik i templariusze*). Czego by nie mówić, rezultatów spodziewałem się przynajmniej nieco bardziej zbliżonych. Po długich poszukiwaniach natknąłem się jeszcze na

powieść autorstwa Czesława Czerniawskiego pt. *Kawaler Maltański*, przedstawiającą maltański epizod naszego rodaka, Bartłomieja Nowodworskiego. Następnym krokiem było sprawdzenie polskojęzycznej literatury naukowej. Tutaj joannici nie ustępują pola templariuszom w sposób tak widoczny, a to głównie za sprawą obszernej pozycji H. J. A. Sire'a *Kawalerowie Maltańscy* oraz dorobku Tadeusza Wojciecha Lange, dzięki któremu mamy sporo polskojęzycznej literatury naukowej na temat szpitalników. Pozostawał jeszcze jeden istotny element popkultury – film. Na tym polu również Rycerze Świątyni górowali ponad szpitalnikami, a to głównie za sprawą tytułu *Templariusze: miłość i krew*, który w dość mizerny sposób przedstawia realia życia zakonnego. Poza tym nie można pominąć również słynnego Indiany Jonesa oraz jego przygody ze Świętym Graalem, gdzie nowożytni templariusze już na początku filmu dybią na życie głównego bohatera. A joannici? Nietrudno się chyba domyślić, że ciężko doszukać się jakiegokolwiek dzieła filmowego z Kawalerami Maltańskimi w tle.

Krótkie poszukiwania dobiegły końca, a różnice ilościowe w beletrystyce i filmie udowodniały niezbiecie współczesną sławę Zakonu Świątyni. Pozostało jeszcze zbadać tę kwestię pod nieco innym kątem. Z tego też powodu zasięgnąłem języka wśród rodziny oraz znajomych. Wyniki mnie nie zaskoczyły. O joannitach (oczywiście!) niewielu słyszało. Tymczasem pierwszym szczegółem kojarzącym się z templariuszami (znanymi przez każdego zapytanego) był ich tajemniczy skarb, który miał zaginać wraz z zagładą zakonu i który jak do tej pory nie został odnaleziony.

Ostatecznie zatem dotarłem do sprawy, którą za wszelką cenę chciałem pominąć, wierząc, że za sławą zakonu templariuszy przemawiają jakieś bardziej realne, historyczne przesłanki. Mogłoby tak być w przypadku pierwszego z wymienionych przeze mnie filmów. Tam inspiracją dla autorów była zapewne dawna sława templariuszy jako najsilniejszego z zakonów rycerskich (co nie dziwi, bo posiadali oni na Wschodzie od 4 do 5 tys. rycerzy, a dla porównania joannici mieli ich zaledwie 300). A co z resztą utworów? W trylogii Robyn Young, poza historycznym tłem, na czoło wysuwa się tajemnicze bractwo działające w łonie zakonu, które powiązane jest ze Świętym Graalem i ostatecznie doprowadza do upadku zgromadzenia braci z Templum (zastosowanie fikcyjnego rozwiązania dla rzeczywistego oskarżenia templariuszy o oddawanie czci demonowi). Odnajdujemy tam także tajemniczy skarb i legendę o tym, jakoby wywieziono go do Szkocji. Autorka przedstawia również swoją wersję, zbieżną w zasadzie z historią, ostatecznego rozprawienia się z zakonem oraz jego kasaty.

Wszystko wskazuje na to, że właśnie owe wydarzenia, mające swój początek w piątek 13 października 1307 roku, nadały Zakonowi Świątyni niesamowitego rozgłosu. Wydawało mi się to dość prawdopodobne, zanim jeszcze bliżej przyjrzałam się tej sprawie. Z zagładą templariuszy zbiegło się nagromadzenie wielkich wydarzeń historycznych. Przede wszystkim mowa tu o początku niewoli awiniońskiej papieża oraz rozpoczęciu stopniowego upadku Francji. Jednakże nie sądzę, by to właśnie te elementy przyprawiły Rycerzy Świątyni o nadmierną sławę. Przecież mity i legendy z nimi związane znają nie tylko sami historycy (którzy w zasadzie próbują im zaprzeczać, wydobywając prawdę na wierzch), lecz zwykli ludzie, którzy dzieje własnej ojczyzny znają w większości „po łebkach”, a co dopiero mówić o orientacji w czasach krucjat i historii Francji. W takim wypadku pozostał do rozważenia ostatni element – klątwa.

We wspomniany piątek 13 października, na rozkaz króla Francji Filipa IV Pięknego, aresztowano wszystkich templariuszy przebywających na terenie państwa francuskiego... w tym wielkiego mistrza zakonu – Jakuba de Molay. Zgromadzenie poddano długotrwałemu dochodzeniu, a braci okrutnym torturom, w wyniku których wciąż to potwierdzano, to znów zaprzeczano przytaczanym zarzutom. Mit, jakoby rycerze faktycznie byli winni herezji, homoseksualnych praktyk, bezczeszczenia krzyża oraz innych zbrodni, absolutnie nie znajduje potwierdzenia w faktach. Prawdopodobnie podczas procesu wielu miało tego świadomość, ale nikt nie próbował wyrwać choćby jednego trybika ze zbudowanej przez Filipa IV i jego kanclerza, Wilhelma de Nogaret (pomysłodawcy tego okrutnego

przedsięwzięcia), maszyny. Ostatecznie wielu braci spłonęło na stosach. W tym Jakub de Molay, który chwilę przed śmiercią wezwał króla, jego kanclerza i ówczesnego papieża, Klemensa V, przed sąd Boży. Możliwe, że jego klątwa odeszłaby w zapomnienie bez większego echa... gdyby się nie wypełniła. Jak zapowiadał de Molay, cała trójka postradała życie, nim od jego egzekucji minęło dwanaście miesięcy. I tu wracamy do punktu wyjścia, a mianowicie wspomnianego powyżej stopniowego upadku Królestwa Francji. Stos de Molaya stanowił początek pasma klęsk, zaś jego koniec wyznaczał również stos, lecz rozpalony znacznie później – ten, na którym spłonęła Joanna d'Arc. Czy zatem owa klątwa stanowiłaby ziarno na plon w postaci współczesnej sławy Zakonu Świątyni?

Wróćmy do joannitów, którzy wysunęli się na pierwszy plan wraz z zagładą templariuszy. Dlaczego? Z dwóch przyczyn. Po pierwsze: od tego momentu to joannici stają się najpotężniejszym zakonem rycerskim. I po drugie: to przecież oni odziedziczyli, zgodnie z wolą papieża, większość dóbr po zgładzonych Rycerzach Świątyni (nie, nie było żadnego spisku ze szpitalnikami w roli głównej). Mogłoby się zdawać, iż razem z mieniem szpitalnicy przejmą również mity, legendy oraz plotki jako swego rodzaju kontynuatorzy dzieła braci z Templum. Owszem, zakony dzieliła odwieczna wrogość, jednakże w zasadzie owa wrogość każe również wzajemnie je ze sobą kojarzyć. Poza tym tematów do tworzenia mitów o szpitalnikach nie brakowało. Jak już wspomniałem : w 1310 joannici zajęli wyspę Rodos, gdzie kilka lat później brat Dieudonne de Gozon zabił... smoka. Do sławnych epizodów z dziejów joannitów należy dodać liczne znane nazwiska, w tym dość kontrowersyjną postać wielkiego mistrza Juana Hernandeza de Heredii, osobistości absolutnie światowej. Wiele lat później wielki mistrz Jean Parisot de la Valette dokona na Malcie, wraz ze swymi kawalerami, nieomal cudu, odpierając potężną armię osmańską. Można śmiało powiedzieć, iż wyczyn ten przyniósł de la Valettowi nieśmiertelną sławę (od jego nazwiska pochodzi współczesna nazwa stolicy Malty – Valetta), lecz wystarczy zadać kilka pytań ludziom z najbliższego otoczenia, by dowiedzieć się, że niewielu słyszało o Wielkim Oblężeniu. W tym samym czasie służył w zakonie niejaki Romegas, o którym ówczesni pisali jako o najlepszym kapitanie i żeglarzu Morza Śródziemnego. Kto o nim słyszał? Z pewnością również niewielu.

Kiedy na temat joannitów uporczywie milczano, templariusze wysunęli się na pierwsze miejsce i nikogo chyba nie obchodziło, że od dawien dawna nie istnieją. Od nich czerpała i czerpie masoneria, nie bacząc na to, iż - paradoksalnie - to jeden z ostatnich zwierzchników Zakonu Maltańskiego, Manoel Pinto de Fonseca, należał do organizacji wolnomularskiej. Legenda templariuszy ma taką siłę, że niektórzy utożsamiają twarz widoczną na słynnym całunie turyńskim z licem... Jakuba de Molay. Ba! Można w wielu publikacjach doczytać się nawet tego, jakoby piątek trzynastego był dniem pechowym z tej przyczyny, iż templariusze właśnie tego dnia zostali aresztowani! I nikogo zbytnio nie obchodzi faktyczna geneza „pechowości” piątku trzynastego, z której należałoby szukać dopiero w XX wieku. Legenda templariuszy z pozoru wydaje się tylko fantastyczną historią, ale uważniejsze jej przestudiowanie ukazuje nam przejawienie faktów tak ogromne, że mi osobiście czasami aż trudno w to uwierzyć. W średniowieczu spłonęło na stosie wielu (aczkolwiek nie aż tak wielu, jak nam powtarza kolejny mit), więc nie stanowi to żadnego fenomenu. A klątwa? W dzisiejszych, „racjonalnych” czasach brano by ją pod uwagę?

Czy jest inna legenda, która trwałaby niezmiennie wbrew wszelkim obalającym ją faktom? Przydatna do naszych dywagacji może być ta o ustroju Starożytnego Egiptu i roli słynnych kapłanów, którzy – wedle powszechnego mniemania – rzeczywiście rządili państwem egipskim, manipulując tłumem bezmyślnych obywateli, a do tego samym władcą. W czasach komunizmu w Polsce utrwalano ten schemat, jakby z zamiarem uczynienia z *Faraona* Bolesława Prusa podręcznika naukowego (według słów jednego ze znanych polskich egiptologów). Co jednak łączy sławę staroegipskich kapłanów z templariuszami? Tylko jedno. Masoneria. To masoni fundowali pierwsze wyprawy naukowe do Egiptu w poszukiwaniu swoich „korzeni”, dając przez to początek zjawisku zwanemu „egiptomanią”. Czyżby

z templariuszami doszło do podobnego incydentu? Czyżby to masońskie poszukiwania „korzeni” doprowadziły do serii przekłamań? Czy ta grupa aż tak mocno przenikałaby społeczeństwo, by do zbiorowej świadomości przeniknęły z taką siłą podobne legendy?

Oczywiście pomyśl, by rozwikłać tajemnicę przyczyn, dla których zakon templariuszy jest „celebrytą”, a Kawalerów Maltańskich nie (pomimo że być powinien), może być tylko zabawą. Okazją do poznawania historycznych faktów, ćwiczenia umysłu w rozwiązywaniu zagadek, do miłego i pożytecznego spędzenia czasu.

Mogę dodać, że pewnym usprawiedliwieniem zajęcia się tak efemeryczną kwestią jest to, że omawiany problem chyba funkcjonuje już jako jedna z kanonicznych zagadek kultury. Nie rozumiemy, dlaczego Mona Liza stała się sławna dopiero w XIX wieku, co wpadło do głowy Mickiewiczowi z tym „44” i dlaczego w takich, a nie innych proporcjach rozkłada się sława pomiędzy joannitami a templariuszami.

Powszechną nieznajomość joannitów próbował na przykład rozgryźć Jarosław Sozański we wstępie do książki pt. *Tajemnice Zakonu Maltańskiego*, jednak nie wyciągnął żadnych konkretnych wniosków. Jest to więc kwestia warta i chwili zastanowienia.

Gdyby szukać tła do filmu, to można z łatwością zauważyć, że joannici i współcześnie spełniają z dużym zapasem wymogi tajemniczości i egzotyki, nawet w takim stężeniu, w jakim serwuje nam je kultura popularna. Organizacja jest elitarna i zamknięta (lecz nie do przesady). W szeregi Kawalerów Maltańskich nie może wstąpić każdy. Można o tym przeczytać na stronie internetowej Związku Polskich Kawalerów Maltańskich: „Do Zakonu Maltańskiego nie można się zapisać – można tylko zostać do niego **zaproszonym** przez innych członków Zakonu”. Zakon we współczesnym świecie, jak zaznaczyłem wcześniej, jest podmiotem prawa międzynarodowego, prowadzi działalność o światowym zasięgu, kawalerowie podtrzymują kontakt dyplomatyczny z wieloma państwami. Na dodatek w miejscach, w których tradycyjnie dzieją się rzeczy ekscytujące. Na Amazonce możemy spotkać łódzie ratunkowe z zakonnymi oznaczeniami. Dlaczego więc powstaje wrażenie, że joannici są tak skryci w cieniu templariuszy?

Jeśli w tym miejscu Czytelnik dojdzie do wniosku, że faktycznie, to dziwne, to tekst osiągnął cel. Nie dojdziemy przyczyny i chyba nawet nie warto w dociekaniach przekraczać granicy, za którą zaczyna się próżna gadanina. Powodem może być zwyczajna moda albo chociażby pozostałości propagandy komunistycznej, która przecież bezwzględnie niszczyła wszystko, co katolickie. Prawdy nie sposób ustalić, a te tajemnice, obok zagadki menory, Atlantydy i innych skarbów przeszłości, pozostaną na zawsze nierozwiązane.

Jakimś zyskiem z prób rozwikłania zagadki jest po prostu poznanie historii. Jeśli ktoś domaga się tak zwanej wartości uniwersalnej, to owszem, da się coś wymyślić. Mamy doskonały materiał do rozmyślań o tym, jak bardzo i jak często zmyślane chwalicie, prawdziwego nie znacie.